№ro 15

ROZMAITOSCI WARSZAWSKJE

PISMO DODATKOWE
DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO.
We SRODĘ d. 21 KWIETNIA 1830 R.

I.

WYJĄTEK z PAMJĘTNJKOW P. SANSON KATA PARYZKJEGO.

(Dokończenie.)

»Coby to był za człowiek! gdyby się był na dobrą zwrócił drogę!" zawołałem.

»Móy Przyiacielu!— wyrzekł z nieiakiem oburzeniem się P. Nonclair,— nie przyszedłeś tu morałów prawić,,— Tak dalece był w złym humorze, że nie mogąc słuchać wyznania Bat - la Routa, zawołał: Przynieście rozpalone kleszcze!'

Mercredi rozbił dyle i zaniósł winowayce na przygotowaną do tego deskę. Potem wyszedł i przyprowadził z sobą chirurga z Chatelet. Przysięgły ten tłumacz bólów ludzkich, wziął nieszczęśliwego za puls, obeyrzał iego ręce i nogi, i zapewnił, że, ieżeli nie chcą narazić się na niebezpieczeństwo utracenia swey ofiary na rusztowaniu, powinni go naymniey przez godzinę trzymać na torturach.

Poczem wyszedłem z pokoiu z Mercredi i udałem się do będącey obok izby sądowey: »MCiaPanno! iak możesz tańczyć w tem mieyscu, gdzie katuią?"

Stanęła wśród tańca, i rzekła z boiaźnią. »Więc to niedobrze?

»Nie mówisz tego Pannie iey serce? Nie iesteś przecie z kamienia."

Łzy spłynęły po iey licach, ale nagle wypogodziła znowu twarz swoię, a wskazuiąc na dziedziniec słomiany, rzekła: »tam iest tysiące nieszczęśliwych, co na wieczne wskazani są tortury; a tam — skazuiąc na drugą część domu,— są złoczyńcy, których wieszać albo kołem tłuc będą. Mieszkam iuż w tem mieyscu od lat dwónastu; iadam tu piiam i sypiam. Przybyłam tu bardzo małą, i tu urosłam. Cóżby się ze mną stało, gdybym dzieliła wszystkie boleści, które kraty te i mury otaczaią? . . . . Mogłażbym temu, którego kocham, ieszcze serce ofiarować? Na niebym się to nie przydało.

byłoby to na próżno! Jabym umarła! Ale kiedy sobie śpiewam i iestem wesołą, spokoynie leżą ci nieszczęśliwi na dziedzińcu słomianym i słuchaiąc mnie wielką w tem maią rozkosz."—

»Widziałeś kiedy WCPan w szpitalu siostrę miłosierną?"— zapytała po niejakiey przerwie. Nie odpowiedziałem iey nic na to. Na starym murze pod oknem rosł dziki mech, z pośrodka niego wystawały piękne małe kwiatki. Oko Katarzyny padło na niebieski fiołek, a wskazuiąc na niego z uśmiechem, rzekła:

»Dla czego rośnie tu" . . . .

Zastanowiła się nie dokończywszy swego zapytania. „ Panie Laflotte, czuię, że dziś nie mogę iuż dłużey tańczyć." Metr ukłonił się i wyszedł.

»Ale umiesz też iuż WCPan tłuc kołem żywych ludzi?— zapytała się czule i oboiętnie. Zadrzałem; obraz Małgorzaty, moie nadzieie, życie moie, światło nawet dzienne zaćmiło się tą okropną myślą.— Cóż to WCPanu? zawołała nagle Katarzyna, — WCPan się mienisz, zbladłeś? Czyliż go czem obraziłam?"—

Chciałem się rozsmiać: „ Nie,—odpowiedziałem,— WCPanna mówisz prawdę i dobrze. Dusza nasza iest taiemnicą."

»Tak też mówi Xiądz Pleban! — dodała, a oboie weszliśmy do pokoiu, gdzie był oyciec Vadebout. Tu dowiedziałem się, że P. Nonclair, spodziewaiąc się, iż winowayca na widok koła, którem go tłuc mieli, przyzna się do czynu, o który go obwiniano, udał się na ratusz. Była to godzina 3 po południu, Mercredi poszedł zaprządz konia do woza, Patience zaś na plac de Greve zwany, aby się przekonać, czy wszystko iest w pogotowiu.

Spowiednik więzienia przeszedł szybkim krokiem przez pokóy. Na widok iego krew mi się w żyłach ścięła. Miałem przeczucie, że stracenie nie przyidzie do skutku.

Stracenie

Z uderzeniem wpół do czwartey na wieży Chateletu, usłyszeliśmy głośne wołanie z niecierpliwionego tłumu ludzi. Oficer ieden wszedł do pokoiu i oświadczył mi, że wóz iuż iest przede drzwiami. Aktuaryusz, udał się zemną do więzienia, w celu oddania w ręce moie winowaycę. Bat-la-Route opierał się o ramie Kapłana; Mercredi trzymał go za postronek. Zeszliśmy po schodach. Bat-la-Route usiadł na ławie wozu między Mercredi i Kapłanem. Ja sam musiałem według zwyczaiu usiąść na przodzie. Dotąd widzami naszymi były tylko osoby znacznieysze, damy z miasta, które sowicie wynagradzać musiały grzeczność Vadebauta, że im samym tylko pokazywał złoczyńców w Chatelet; ci nawet wspinali się, iedni na drugich, aby nas zobaczyć mogli. Młoda iedna

kobieta miała mnie za wskazanego na śmierć. Wyiechawszy z Chatelet, rozumiałem, że w innym iesteśmy mieście.. Zdawało się, że cały Paryż z mieysca się swego poruszył. Szeroka ulica *de Greves* stała się zupełnie wązką, był to ocean z samych twarzy ludzkich złożony. Sądziłem, że iesteśmy na morzu, i że słyszę szum bałwanów:

Zdiąć kapelusze!— Oto on!— Jeszcze tak młody!— Ten nikczemnik! — To ieszcze mało bić kołem!— On iednemu podpalił podeszwy!— Drugiego żywo zadusił!— Ten potwór!— To Włoch!— Przyznałże się do zbrodni?— On zabił przeszło sto ludzi!— Ładny chłopiec!— Patrzy śmiało!— Jemu nie cięży nic na sercu!- Jakto? on ma bydź kołem bity?— Tak młody piękny mężczyzna— Zdeymcie kapelusze!— Nie na próżno on nosił nazwisko swoie!— Mamy, który z nich będzie stracony.— Ten Łotr nie musi mieć duszy w ciele;— On tak spokoyny! Zdeymuycie kapelusze!— I do kata, okradziono mię.— Złodziey! złodziey, złodziey!— Co za potwór— Dalibóg, on póydzie prosto do piekła! — Ten zbóyca! —

Wszystkie te głosy tłoczyły się razem do uszu naszych. Był to głos nieustaiący, złożony z tylu tysięcy głosów; zewsząd dochodziły nas znaki ukontentowania, iak w teatrze kiedy się piękne iakie mieysce spodoba. Więcey tam było kobiet niż mężczyzn. W tem, gdyśmy już byli blisko szafotu, zatrzymał się nagle wóz, nie wiem dla iakiey przeszkody, i w tey samey chwili postrzegłem na ulicy wysokiego chudego mężczyznę, bystre rzucaiącego spoyrzenie na Bat-la-Routa, który naylitościwym tylko odpowiedział uśmiechem, wskazuiąc oczyma na rusztowanie. Nieznaiomy zaś pokazał palcem na młodych braci stoiących u spodu rusztowania. Wóz poruszył się znowu, a obadwa nie mogli się iuż widzieć.

Czułem iakby mnie febra nerwowa napadła, i dodawała mi męztwa do czynu mego. Z drugiey strony skinienia nieznaiomego wlewały we mnie pewien rodzay nadziei. Widziałem iak Patience przyrządzał na rusztowaniu koło i wydrążone kloce, na których miały bydź członki Bat-la Routa połamane. Ale wszedłszy na pierwszy stopień, odbiegła mię znow odwaga; zbladłem, osłabłem tak, że się na Mercredi oprzeć byłem przymuszony. Nareszcie wszedłszy na górę, spoyrzałem na około siebie, i widziałam iak winowayca schodził ze schodów! ..

Krzyk, który uważałem za głos radości wydobywał się z nieiakiem oburzeniem z pośrodka tłumu.—„ On tylko chce z czasu korzystać,— rzekł do mnie Patien-

)(

ce, — chce iść na ratusz"— Ah! ia sądziłem, że został ułaskawiony! czegóż krzyczą ci ludzie?"

»Bo muszą czekać!» odpowiedział Patience z uśmiechem, którego nawet i w piekle nie zapomnę.

W kilka minut potem przyszedł Aktuaryusz z dwema ludźmi z ratusza, i wszyscy trzey zbliżyli się do szafotu.

»Chwała bogu! zawołałem, a więc przynaymniey iuż nie dzisiay!»

Ale radość moia zamieniła się w trwogę okropną: Bat-la Route chciał zemną pomówić. Gdyśmy weszli na salę ratuszową, uśmiechał się ten Włoch.

„Miałżebyś sam WPan bydź iego współwinowaycą? — zapytał mię spowiednik, — on bowiem wyraźnie oświadczył, że tylko w WPana przytomności może mówić?"

Strach okropny wskróś mię przeiął, zarumieniłem się; ale Nonclaira spoyrzenie godząc we mnie iak mieczem, wróciło mi dawną bladość. Przystąpiwszy do Włocha, zapytałem go: „Znałeś mię kiedy?"

„Aha, aha" — zawołał Nonclair, tak iakby mi kto ucho piłował.

Ponure nastąpiło milczenie, Mercredi i Patience zbladli; widziałem, że ludzie ci dzielili zemną uczucia moie.

„Móy panie! zapytał się Bat la-Route, z szyderskim uśmiechem, — wytchnąłeś iuż WPan, możeszli teraz dopełnić obowiązku swego?

„Tak iest!"

„No, panie Sędzio, — mówił obróciwszy się do niego, — ieżeli miałem zyskać czasu cokolwiek, to tylko dla tego, ponieważ widziałem, iż ten Pan zesłabł, a ia niechcę, aby taki człowiek iak ia (przybieraiąc dumną postawę) odebrał śmierć z ręki słabego młokosa."

Sędzia stał iakby piorunem rażony. »Dali Bóg, to diabeł wcielony« zawołał żołnierz ieden.

Zacząłem woluiey oddychać; wszyscy wrócili znowu do rusztowania. Na schodach w ratuszu Patience i Mercredi podali mi pałkę, owiązaną wstążkami, sutym z kwiatów przyozdobioną bukietem.

»Nieszczęśliwi! — zawołałem, oddaiąc im moią kieskę, wstążki zaś i kwiaty rzuciłem na ziemię.

Dla tego to oni dziś rano tak często się na mnie spoglądali, iakby chcieli mówić: Czy on też nam da pieniędzy?

„Teraz póydzie rzecz dobrze, kochany móy Panie! — rzekł Bat-la-Route zupełnie zimno, — iest to nieiako całus, który żegnaiąc się na drugi świat odbieram!"

Okrzyk radości rozniósł się w powietrzu kiedyśmy z ratusza wychodzili.

»Szybko, — mówiłem po krótkim namyśle sam do siebie — teraz dobrze ci się uda wypełnienie twego obowiązku. Podniosłem pałkę, spadła na rękę złoczyńcy, a ia cały obryzgany byłem krwi kroplami.

»A do diabła, on naśladuie oyca swego!«

Te tylko słowa wyrzeczone przez Patience do Mercredi, usłyszałem wśród okrzyku widzów. Uderzenie było tak mocne, że ręka Bat-la-Routa na drobne rozgruchotała się kawałki.

»Henryku!»

Była to Małgorzata, która imie moie wymówiła. Zdawało mi się, iakoby stała na rusztowaniu, blada iak śmierć. Uciekła, oczy mi się zamknęły, upadłem wzdłuż na ziemię.

— W opowiadaniu tem iedno iest złagodzonem, drugie zupełnie opuszczone; n. p. Lekcya, którą stary Paryżanin dawał swemu synowi, iak naylepiey iest bić kołem, i t. d.

W następuiącym rozdziale znayduiemy młodego Henryka, odzyskuiącego przytomność na łóżku w domu rodzicielskim, oyciec i matka siedzieli przy nim, a Mercredi opowiadał, iak po zemdleniu młodego pana, kilku z bandy Bat-la-Routa, którzy przebrani wcisnęli się pomiędzy braci miłosierdzia, zburzyli szaffot i naczelnika swego uwolnili, do czego im i lud sam wielką był pomocą, który nagle swoią chęć zabóystwa zamienił na litość nad nieszczęśliwym winowaycą. Wersalczyk, który na dzień ten przybył do Paryża, wchodzi i oznaymia że córki swey nie odda człowiekowi bez serca i urzędu. Przy tey sposobności wyrzuca staremu Sansonowi, że dzieci swych lepiey nie wychowywał.

»No, no, móy stary — odpowiedział Pan Sanson, — nie gaday mi tak wiele, bo w końcu muszę ci powiedzieć, że córka twoia iest przyczyną całego tego zmartwienia.«

»Moia córka?«

»Nie inaczey; — ona to niechciała, aby Henryk obiął móy urząd, założyłbym się, że w tey całey historyi ona gra swoię rolę! — Kiedyś ią ostatni raz widział?« — zapytał się surowo syna.

»Na szaffocie, oycze!«

»Nasz Pan zaczyna znów marzyć, rzekł Mercredi.

»Nie, nie! Wszakże Małgorzata przybyła dopiero dzisiay do Paryża, do swoiey ciotki Vimontel.

»Nie może bydź!« zawołał oyciec Małgorzaty. Lecz w tey samey chwili przybiega Patience z listem Małgorzaty, który przyniósł Jan służący Wersalski. W liście tym Małgorzata żegna Henryka, prosi go, aby dał na kilka mszy świętych za iey duszę, która wiecznie do niego należy, i która obraz iego w niebie nawet zachowa, ieżeli na to Bóg zezwoli. W mieyscu tem Henryk wydaie krzyk okropny. Każą przyiść Janowi. „Co się stało?“ pytaią go.

»Panna Małgorzata utopiła się w wielkim kanale naszego (Wersalskiego) parku.»

»Jakto, kiedy?«

»Około czwartey godziny. Ja się czegoś domyślałem i poszedłem za nią; nieszczęściem przyszedłem już za późno. Myślała ona o WPanu, Panie Henryku, bo kopiynik Królewski słyszał; iak wołała: Henryku! Henryku! wskakuiąc do wody.»

»Wiem o tem! krzyk ten doszedł aż do mnie na szafot, a z nim ona sama. Gdzie iest pałka? gdzie iest złoczyńca? Nuże, Mercredi, teraz i samego Xięcia tłukłbym kołem — Cały Paryż mógłbym spalić!... Obecnie iestem, czem być powinienem, nieczułym na wszystko.»

»Skazanego na śmierć iuż niemasz! zawołał smutnie Mercredi.»

W tem Kasia wpada z radością do pokoiu. »Powiem Panom, co mi oyciec rozk

zał, że Bat-la-Route schwytany i siedzi teraz w więzieniu swoiem. Obwiązuią mu teraz rękę. Mówiono, Panie Henryku, żeś WPan uszkodzony został?» zapytała zarumieniona.

Powszechne milczenie! —»Nie troszcz się WPan, mówiła daley, — Oyciec sądzi, że wina cała spada na tych braci miłosierdzia, którzy pozwolili wcisnąć się pomiędzy siebie fałszywym kollegom. Żołnierze w Berncy schwytali całą bandę Bat-la-Routa, niczego więc lepszego nie może sobie Pan Nonclair życzyć.

»Więc tedy, — mówił oyciec, biorąc w obięcia Kasię, — ty znowu wiele rzeczy naprawiasz, kochane dziecię. Od ciebie więc tylko zależy dokonać reszty.»

We trzech słowach matka moia opowiedziała wszystko Katarzynie. Przyiemna córka dozorcy więzienia z politowaniem na mnie spoglądała. Biedny Henryku, powtarzała po kilka razy.

»Jutro!« rzekł móy oyciec.

Zrozumiałem go i powtórzyłem:

»Jutro!«

II.

(Artykuł nadesłany.)

W odpowiedzi Kuryera Polskiego na Artykuł w Numerze 80 Gazety Korres: umieszczony, nowe spostrzegać się daie ziawisko. Kuryer w przedmiocie literackim zniża się iuż do rozumowania: a nawet rozumuie w sposobie ścisłym, zaledwo nie matematycznym. Podaie iakoweś pytania, iakby zagadnienia: i te sam sobie z łatwością rozwiązuie. Jednakże mógłby ktoś po odczytaniu tey odpowiedzi uczynić uwagę: że iak w każdey rzeczy początek iest trudnym, i pierwsze kroki nasze bywaią zwykle błędnemi, tak też i Kuryera pierwsze rozumowania są nakształt sofizmatów. Zapytuie Kuryer: »czy trębacz powinien bydź trębaczem na scenie, a dobosz doboszem, czy nie, i iakiego stylu użyć powinien dramatyczny poeta wprowadzający na scenę dobosza i trębacza?» Samo zapytanie iest iuż dowodem nieświadomości lub złey wiary Kuryera: wyiątek w Gazecie Korres: z traiedyi Szyllera przytoczony, nie iest uchwyconym z roli iakiego trębacza lub dobosza: autor kładzie te słowa w usta osoby poważney; o czem ieżeli Kuryer nie wiedział, łatwo się przekona po odczytaniu samey traiedyi: Wallenszteyna. Ale przypuszczaiąc, że to są istotnie słowa trębacza (bo też pełno w tey traiedyi widzimy doboszów, trębaczów, markietanek etc.): nie o to wcale idzie, czy trębacz i dobosz powinien się wyrażać iak wszyscy trębacze i dobosze, ale czy w dramacie trilogicznym, kończącym się na śmierci Wallensztеyna, należy wprowadzać trębaczów, doboszów i markietanki? czy poeta w traiedyi lub nawet w iakimkolwiek rodzaiu poważnym, użyć może tonu pospolitego, gminnego, iaki tylko farsom lub krotofilom przystoi? Szczególniey w poezyi wyższey nie należy malować natury w całey obrzydliwości: trzeba wybierać to, co iest w naturze ludzkiey pięknem, szlachetnem, wielkiem, wzniosłem, to iest przedstawiać naturę upiększnioną. Oko miłośnika sztuk pięknych nie zniesie widoku

obrazu odstręczającego, chociażby ten był nayprawdziwszym. Styl drammatu poważnego powinien bydź wszędzie szlachetny, i taki żeby dopomagał do wzbudzenia rozmaitych uczuć, do utrzymywania w nas ciągłego i mocnego wrażenia. Styl zaś pierwszego oddziału Wallensztejna iest nikczemny, pospolity, niekiedy nawet pronaiczny. Zgadzamy się z Kuryerem że prawidła delikatności w mowie i gustu nie były ieszcze znane osobom które wchodzą do tey pierwszey części drammatu Szyllera, ale znane autorowi, który też osoby na scenę wyprowadził: a zatem, iak się iuż powiedziało, tego rodzaiu osób bez istotnego i właściwego celu wtłaczać nie był powinien. Przytoczyliśmy wyiątek z iedney sceny, w którey uderza czytelnika dziwaczna słów igraszka (*) moglibyśmy wykazać wiele innych niedorzeczności w tey pierwszey części Trilogu znayduiących się; ale są tam mieysca tak gminne, nieprzyzwoite i przystoyność obrażaiące, że ich nawet sam Kuryer (czuie on to dobrze) przytoczyćby się nigdy nie odważył, iak n. p. tego co mówi Markietanka.

Powiedzą tu P. P. Romantycy: trzeba aby traiedya była dokładnym obrazem historycznym: należy w niey dać poznać obyczaie wieku z którego przedmiot iest wzięty. Łatwa na to odpowiedź, teatr nie iest szkołą historyi: obowiązkiem iest tylko autora, aby charaktery osób były dokładnie oddane i zasadzały się na prawdzie historyczney. Kto chce się nauczyć historyi, niech się uda do dzieł sławnych dzieiopisów iak n: p. do wybornego dzieła tegoż Szyllera pod tytułem: woyna

---

(*) Zarzucił Kuryer że w wytłumaczeniu iedney z igraszek takowych. Fryst den Ochsen lieber als den Oxenstirn przez wyrazy:,, pożeraią chętniey woły iak wodza Oxenstirna, popełnionym został wielki błąd historyczny: że Oxenstirn nie był nigdy wodzem tylko kanclerzem Króla Szwedzkiego. Niezaprzeczono wcale przez to Oxenstirnowi godności kanclerza; ale niech go też Kuryer nie pozbawia dowództwa nad woyskiem, które lubo nie ciągle, sprawował iednak w ciągu woyny trzydziestoletniey. Na dowód przytaczamy nie innego dzieiopisa (któremuby Kuryer może nie dał wiary) lecz właśnie ulubionego iemu autora. W dziele Szyllera którego napis: woyna trzydziestoletnia, w tomie I na stronicy 267 czytamy te wyrazy: »Oxenstirn, zarazem Jenerał i kanclerz, znaydował się z woyskiem około dziesięciotysięcznem, w Prusach, dla bronienia tey prowincyi przeciw Polakom.« W przytoczonym zaś wyiątku z drammatu Wallensztejna, który mówi o żołnierzach stroniących od walek, troszczących się więcey

trzydziestoletnia,. które autorowi niewątpliwie stalszą chwałę zapewni, niżeli tak zwany Trylog Wallensztein. Smieszną więc iest pochwała którą Kuryer w ten sposób wyraża: »Trudno wydziwić się historyczney erudycyi w tym pierwszym dziele wspomnioney traiedyi. Ileż kronik nie musiał wertować Szyller, ile czytać zapleśnionych szpargałów etc.''

Jgraszka słów i liter, (któréy tak broni Kuryer) iako daiąca obraz wieku i stylu owoczesnego, znalesćby wreszcie mogła przyzwoite dla siebie mieysce w iakim romansie historycznym, na wzór romansów Waltera Skotta: ale w traiedyi iest ona śmieszną i niedorzeczną.

Chyba więc tem autora swoiego obronić może Kuryer, ieżeli wyzna, że Wallensztein nie iest ani traiedyą ani komedyą, tylko iakimyś potworem drammatycznym, w którym wszystkie te rodzaie i wszelkie gatunki stylu są pomięszane. Same dzieło iest ogromne i niekształtne: akcya nadzwyczay leniwie postępuie, pomimo wielkich dostrzeżeń astrologa Seni, cały pierwszy oddział i cztery akta z oddziału drugiego nie prawie akcyi nie posunęły, bo miłość Maxa i córki Wallensteina iest tylko epizodem: dopiero piąty akt i sam koniec czwartego aktu, a mianowicie wyborna scena w którey naywznakomitsi rycerze Niemieccy, dla pokrzepienia sił winem się poią, główną akcyą cokolwiek posuwa. Możnaby zatem te pierwsze dwa oddziały uważać za wstęp czyli prolog, a do wystawienia takiego prologu, nie wystarczyłby przeciąg trzygodzinny, iaki przedstawienie dzieł scenicznych zwykle u nas zaymuie. Lecz co naywięcey mówi przeciw temu dziełu drammatycznemu, któremu trudno dać iakie nazwisko, iest to, że w trzecim nawet oddziele główny charakter Wallensteyna, zbyt słabe ma zarysy: wszystko za niego dokonywaią inne osoby, szczególniey Hrabia i Hrabina i Terccy Illo: on sam nic prawie nie działa.

Smiało może odgrażać się Kuryer, że pisarze romantyczni nie zmienią zasad swoich (ieżeli tylko iakich się trzymaią) choćby się co sto lat rodzić miało po 24 Boalów, bo wieki przeminą nim świat drugiego uyrzy.

Dokończenie nastąpi.

---

o dzban iak o woynę, i pożeraiących chętniey woły iak Oxenstirna poeta nie mógł mieć na myśl Oxenstirna iako kanclerza lecz iako naczelnika armii Szwedzkiey, zwłaszcza że w czasie, w którym się akcya drammatu odbywa,. Gustaw Adolf iuż nieżył, a naczelną dyrekcyą interessów i kierunek siły zbroyney Szwedów w Niemczech, miał sobie od powierzone Oxenstirn w takim prawie stopniu, [w iakim wprzód sam Gustaw tę władzę sprawował. Jeżeli więc nie mamy posądzać P. P. Romantyków o nieznaiomość tych pisarzy, których wyłącznie uwielbiaią, zarzut ten wykazuie, ile zależy Kuryrerowi na chwilowym nawet tryumfie.